GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LIPCA 1935 R.

NR. 13 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 13

1935 R.

1 — VII

HENRYK TENNENBAUM

MITOLOGJA PRZEDSIĘBIORCÓW SKARTELIZOWANYCH

Niekiedy wzniosłość staje się ludziom tak obca i odległa, iż posądzenie o wzorowanie się na micie mogą uważać za szyderstwo i obrazę.

Jedną z podstaw mitologji ludów pierwotnych jest przeświadczenie, że wszelkie obserwowane zjawiska są odbiciem, kopją czy też odtworzeniem zjawisk, które się niegdyś dokonywały w okresie, jakbyśmy teraz powiedzieli, pozaprzyrodzonym, ponadprzyrodzonym, pozahistorycznym, czy też krótko mówiąc — mitycznym. Gdy człowiek pierwotny staje w obliczu faktu niezwykłego, rzadkiego, nie doświadcza on żadnego zdziwienia, gdyż ten fakt jest oczywiście powtórzeniem lub odbiciem faktu, który miał miejsce w okresie nazwanym przez nas obecnie mitycznym. Otaczające człowieka pierwotnego kamienie, rośliny, zwierzęta i zjawiska są wyposażone w jego oczach w cechy owych istot mitycznych. Dla człowieka pierwotnego skłonności ludzi, zwierząt i roślin wywodzą się z ich mitycznego prototypu i to je dostatecznie tłomaczy.

Badacza ludów pierwotnych bardzo dziwi dziwaczna dlań umysłowość ludów pierwotnych. Badacz stosunków nowoczesnych, przeglądając prace z zakresu mitologji ludów pierwotnych, nie dostrzega tych głębokich różnic pomiędzy umysłowością ludów pierwotnych a naszą własną.

W wieku XVIII i XIX wysunęła się niemal na czoło galerji ówczesnych typów — osoba przedsiębiorcy. Przedsiębiorca miał według literatury ówczesnej cały szereg nadzwyczajnych, niemal półboskich, cech: śmiałość, rzutkość, zdolność inicjatywy, umiejętność trafnej kalkulacji, samodzielność, nieoglądanie się na pomoc państwa lub instytucyj publicznych, umiejętność samodzielnego przezwyciężania napotykanych trudności; w tym wykazie słychać nutę bohaterskiego tryumfu przedsiębiorcy nad otaczającym go światem.

Nie będziemy się zastanawiać w tej chwili nad narodzinami tego bohatera, zauważmy jednak przelotnie, że przedsiębiorca przemysłowy był niezmiernie popierany przez państwo w okresie merkantylizmu, że państwo zapewniało mu rynki zagraniczne przy pomocy koncesyj monopolistycznych i prawa wyłączności przy prowadzeniu handlu z pewnemi krajami zamorskiemi. Nim nowoczesny bohater podrósł i zmężniał, i stał się półbogiem — przedsiębiorcą, czujni i życzliwi opiekuni starannie układali go w kołysce i obwijali w ciepłe pieluszki.

Potem półbóg — przedsiębiorca nabrał w pewnej mierze cech i właściwości, które mu przypisuje literatura gospodarcza.

Ale współczesny przedsiębiorca skartelizowany na mocy ustaw państwowych lub dekretów, przewidujących przymusowe tworzenie kartelów, w wypadku niezawiązania ich w trybie dobrowolnej umowy, jest już istotą zupełnie różną od osoby bohaterskiego półboga-przedsiębiorcy z wieku XIX.

Gdy współczesny przedsiębiorca nie umie uregulować stosunku pomiędzy podażą a popytem, zwraca się do państwa o przymusowe uregulowanie podaży: zabiega on o kredyty państwowe, o premje wywozowe, o pomoc w walce z outsiderami produkującymi nienowoczesny towar na nienowoczesnych maszynach.

Cóż wspólnego ma taki przedsiębiorca, zabiegający, przy pomocy władz państwowych, o sytuację monopolistyczną — z przedsiębiorcą z wieku XIX?

A jednak fakt, że przedsiębiorca wieku XX-go wywodzi się genetycznie od przedsiębiorcy wieku XIX-go sprawia, że on sam siebie uważa za potomka swego prototypu mitycznego z wieku XIX-go i, że znaczna część opinji publicznej nadal mu cechy przodka przypisuje.

Niekiedy współcześni przedsiębiorcy skartelizowani sądzą, że niczem się nie różnią od swego mitycznego prototypu z wieku XIX-go; według ich zdania tylko ludzie naiwni myślą, że zawiązanie i kierowanie kartelem jest rzeczą łatwą, nie zdając sobie sprawy z tego, ile się muszą namęczyć, napocić i połknąć dymu z cygar uczestnicy kartelów w czasie narad przy łagodzeniu i załatwianiu wzajemnych konfliktów. Pod tym względem współczesny przedsiębiorca ma rację; walki i konflikty podczas narad kartelowych są istotnie ostre, zajadłe i bardzo często przedsiębiorcy nie potrafią ich załatwić samodzielnie bez pomocy arbitrażu rządowego. Ale znojne krople potu występujące na głowach uczestników kartelu, ich zabiegi przedpokojowe, mające na celu uzyskanie pomyślnego dla niektórych z nich arbitrażu rządowego nie wiele mają wspólnego z troskami i znojami bohaterskiego przedsiębiorcy z wieku XIX. Jeżeli zaś w poszczególnej gałęzi przemysłu znajdują się przedsiębiorstwa z tych czy innych powodów zasekwestrowane przez rząd lub spowodu trudności finansowych sanowane przez instytucje państwowe, to one wtedy uzyskują najdogodniejsze warunki w umowach kartelowych. Nowoczesny kartelizujący się przedsiębiorca sporządza rejestr zasług, cierpień i strat dla ojczyzny ponoszonych. Pobudką i motywem akcji sanacyjnej jest oczywiście przysłużenie się dobru publicznemu. Na gruncie tego zespołu ocen przedsiębiorca prosperujący zaczyna powoli ulegać dyskwalifikacji; nie dba on o ojczyznę, ale o swój interes, nie uprawia dla dobra ojczyzny nierentownego eksportu, często mu się zarzuca, że nie żyje na stopie stanu przemysłowca (standes-gemaess), że zamało wydaje, co doprowadza do tego, że pluskwy zagryzają żubry.

Niekiedy niezagryziony przez pluskwy żubr otrzymuje od kartelu wynagrodzenie za zaprzestanie produkcji, stając się w ten sposób „kontyngenciarzem", a przestaje być producentem; siła mitu jest jednak tak wielka, że kontyngenciarz uważa się za takiego samego bohaterskiego przedsiębiorcę, jakim był jego mityczny prototyp z wieku XIX.

Ponieważ mityczny prototyp zagryzanego żubra z powodzeniem w wieku XIX produkował i sprzedawał, to jego potomek w wieku XX zgłasza roszczenia do prawa od produkcji; w przemyśle bawełnianym łódzcy przedsiębiorcy żądają przydziału bawełny w stosunku prostym do posiadanej ilości wrzecion; wrzeciona są traktowane niemal jak majątek narodowy, którego nie można niszczyć, niemal tak samo jak muzeum narodowe, płótna Matejki, rękopis Pana Tadeusza itp. Zabytków i świętości nie należy niszczyć, lecz należy je ochraniać i pielęgnować.

Charakter pracy kierowników i uczestników karteli ma daleko więcej wspólnego z pracą urzędnika ministerjalnego, który też często bardzo się męczy przy obliczaniu stawek celnych, stawek kolejowych, kluczów kartelowych, kwot eksportowych i premij eksportowych. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że uczestnicy i kierownicy kartelów głównie pracują nad tem, aby pozyskać dla swych koncepcyj kartelowych przychylny i życzliwy stosunek władz rządowych. Horyzont współczesnego kartelizującego się przemysłowca jest nastawiony na perspektywę przedpokojów ministerjalnych, a nie na produkcję i wolny handel.

Jeżeli jednak przedsiębiorcy skartelizowanemu bardzo często jeszcze teraz przypisywane są cechy przedsiębiorcy z wieku XIX-go, to dzieje się to dlatego, że nowoczesny przedsiębiorca skartelizowany wywodzi się genetycznie od przedsiębiorcy wieku XIX-go; przy ocenie współczesnego skartelizowanego przedsiębiorcy niekiedy jeszcze teraz znacznie większą rolę odgrywa mit XIX-go wieku, aniżeli rzeczywistość wieku XX-go. Jeżeli się zapytać zamianowanego przez rząd kierownika zasekwestrowanego lub sanowanego przedsiębiorstwa jakie ma według swego zdania kwalifikacje, to odpowie on, że jest bardzo dobrym... kupcem lub że ma nadzwyczajny, nadprzyrodzony zmysł kupiecki.

Czyż ceny zboża nie miały w okresie intensywnej działalności P. Z. P. Z. przebiegu magicznego: naiwny, nieświadomy ekonomista gotów by powiedzieć, że naogół ceny podnosiły się na przednówku, gdyż wtedy występował brak zboża, a spadały po zbiorach wskutek nadmiernej podaży. Takie tłomaczenie jest uważane przez kategorję swoistych genjuszów kupieckich za niesłuszne: ceny się podnosiły wówczas, gdy P. Z. P. Z., interwenjowały, spadały zaś wówczas, gdy P. Z. P. Z. nie interwenjowały. Twierdzi się, że krzywa cen zboża zależała od decyzyj dobrego kupca kierującego P. Z. P. Z. jakkolwiek wiadomo, że nigdy niemal środki P. Z. P. Z. nie wystarczały, aby przy ich pomocy można było powziąć skuteczną interwencję w dziedzinie cen.

Dobrzy kupcy, kierujący przedsiębiorstwami sekwestrowanemi, sanowanemi, umiejący otrzymać kredyty w B. G. K., lepsze kontyngenty w kartelach i obstalunki rządowe nie mają nic wspólnego z kupcem z wieku XIX-go, a jednak mityczna legenda jest nadal podtrzymywana; jednym z jej skutków jest to, że wyposażony w mityczne, bohaterskie, półboskie cechy z łaski rządowej przedsiębiorca wieku XX-go otrzymuje uposażenie określone nie na skalę urzędniczą, lecz „kupiecką" z wieku XIX.

Prawdziwego przedsiębiorcy należy poszukiwać obecnie w gałęziach przemysłu nieskartelizowanego, drobnego, średniego wolnego handlu i rzemiosła. Ale w tych środowiskach nie pielęgnuje się

teraz mitów. Niejeden szewc, stolarz, drobny fabrykant zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że on właśnie jest kontynuatorem pracy przedsiębiorczego półboga z wieku XIX-go. Tymczasem roszczenia do stanowiska półboga zgłasza zupełnie niesłusznie skartezowany przedsiębiorca.

Czyż nie mamy tutaj do czynienia z mitologją skartelizowanych sfer gospodarczych, niezmiernie sznie skartelizowany przedsiębiorca.

Cały szereg warunków objektywnych wpłynął na zmianę struktury psychicznej przedsiębiorcy, nietylko w Polsce, ale i na całym świecie; kartelizacja szeregu gałęzi wytwórczości jest zjawiskiem wywołanem przez warunki objektywne; nie występujemy więc przeciwko kartelom i pewnym stosowanym przez nie zabiegom; próbę analizy daliśmy w większej pracy temu tematowi poświęconej. Interesuje nas zjawisko współczesnej mitologji gospodarczej i uważamy, że chwyt mitologiczny może niekiedy rzucić dużo światła na rzeczywistość gospodarczą.

UWAGI

PROBLEM, KTÓRY CZEKA ZADŁUGO

W swych doskonałych „uwagach"*) p. Z. Szempliński poruszył ostatnio temat, o którym wciąż się wstydliwie zamilcza zapewne ze względów wyższej użyteczności; względów które niebardzo możemy podzielać.

Ktoś kto z boku obserwuje polską rzeczywistość w ciągu ostatnich kilku lat zdumiewa się spewnością nierównomiernym postępem i zygzakowatą linją rozwoju w różnych dziedzinach naszego życia. Tak więc widziałby olbrzymi postęp w samej organizacji państwa obok wielkich braków w innych dziedzinach. Sprawą, która doniedawna pozostawała w całkowitem zaniedbaniu i stanowiła groźne niebezpieczeństwo dla bytu Polski był brak zrozumienia i brak siły dla wytworzenia własnej psychiki zbiorowej. Wydaje się, że dziś pierwsze kroki już stawiamy; dalecy jeszcze od dynamizmu, który musi być potężną siłą motoryczną, zdajemy sobie jednak sprawę, że coś tu nie jest w porządku, że mimo utrwalania pewnych wartości organizacyjno-formalnych, powstałych bez naszej zasługi i współudziału, nie mamy dość siły i żywotności, by w dzisiejszej epoce wielkich przemian społeczno - kulturalnych móc się utrzymać na powierzchni; słowem — brak polskiego poglądu na świat, brak mocnej indywidualności zbiorowej, brak epiki społecznej. To wszystko jest dawną i wytartą prawdą, gorzką i możliwą do uświadomienia sobie tylko wobec wiary niejako biologicznej w wartość naszego istnienia. Tak więc rozszerzanie się tej prawdy w świadomości społecznej jest pierwszym i wielkim krokiem naprzód. Obecnie kończy się definitywnie okres istotnego, ale dopiero wstępnego wysiłku. I tak się dziwnie złożyło, że właśnie teraz wypowiedziane zostało słowo o micie społecznym; może to nie był przypadek: legenda przechodzi do historji, zwracamy się twarzą ku naszej przyszłości, szukamy dla niej wyrazu. Ostra jest w pierwszem powojennem pokoleniu świadomość tymczasowości obecnego stanu rzeczy: nie wystarcza mu codzienność wysiłku bez świadomości celu. Nie dyskutujemy, czy jest to rzecz „normalna" wogóle, a w dzisiejszych czasach — w szczególności: możliwe, że chodzi tu poprostu o młodość, o sublimowanie swej rzeczywistości. Tem niemniej jednak jest to fakt, z którym się trzeba liczyć; stanowi on dziś drugi, poważny czynnik optymizmu.

Historja myśli gospodarczej ostatnich kilku lat również nie była wesoła. Mimo znacznego postępu w lepszem uświadomieniu sobie sytuacji polskiego gospodarstwa, mimo dalszego zrozumienia braków w strukturze gospodarczej kraju i wyciągania stąd wniosków co do konkretnych posunięć w niedalekiej przyszłości, sposób działania gospodarczego nadal nie uległ krystalizacji. Niema w tem oczywiście nic dziwnego, gdyż polityka gospodarcza jak i polityka społeczna stanowi w ostatniej instancji refleks ogólnego kryterjum kulturalnego, a wobec dotychczasowego stanu rzeczy nie miała wprost warunków dla swego rozwoju.

I to wydaje się mieć pierwszorzędne znaczenie: nie można mówić i myśleć o micie społecznym w oderwaniu od podstaw, które stanowią o jego immanentnej wartości i sile; mit musi być mitem kultury polskiej szeregującym ogólną hierarchję wartości kulturalnych w skali ogólnoludzkiej, musi być najwyższą syntezą, z której dedukcyjnie wysnuć się dadzą normy postępowania w każdej dziedzinie życia, a więc i postępowania gospodarczego. Oderwane traktowanie zagadnień gospodarczych na nic się nie zda. Kręcić się zaczniemy wokół konkretnych zadań jakie przynosi dzień powszedni, i jak dotąd nie ogarniając całości, nie zdobędziemy się na odważne myślenie i zdecydowane działanie. Program gospodarczy związany jest z ustrojem gospodarczym, a ustrój jest rzutowaniem w płaszczyźnie społecznej poglądów kulturalnych. Strzec się więc należy w okresie krystalizacji tych poglądów opinji speców gospodarczych, których zawsze sprowadzać trzeba do właściwej im roli.

Zmierzch speców wbrew pozorom odbywa się zresztą w każdej dziedzinie ludzkiego działania, związanej z człowiekiem jako jej przedmiotem.

Jeśli chodzi o aktualną sytuację społeczno-polityczną w Polsce, to jedna głęboka przemiana rzuca się w oczy: przeniesienie punktu ciężkości z zagadnień politycznych na zagadnienia społeczne. Jest zadawnionem złudzeniem wmawiania w siebie, że wysiłki aparatu państwowego skierowane są w dalszym ciągu przeciw ukrytym i wrogim siłom politycznym; sił tych właściwie już niema; istnieją tylko „en état latent". Przechodzimy w szybkiem tempie do następnego etapu, to jest do utrzymania w porządku mas społecznych, do zabezpieczenia

———

*) patrz Nr. 12 „Gospodarki".

pogłębionego przez kryzys nierównego podziału dochodu. Okres ten uważać trzeba za sprzeczny nietylko z dobrą przyszłością gospodarki polskiej, ale i z istotnemi interesami Polski wogóle.

Należałoby więc przyśpieszyć etapy powstawania i tworzenia się mitu społecznego; proces ten zpewnością będzie jeszcze dość długi i odbywać się będzie podświadomie do czasu, gdy w formie skończonej zostanie może skrystalizowany przez jakąś jednostkę genjalną. Elementem pomocniczym i niejako przygotowawczym tego procesu może się jednak stać wypowiedź i uświadomienie sobie tych przemian wewnętrznych jakie zachodzą obecnie w naszej psychice zbiorowej. Wydaje się bowiem, że przemiany te zachodzą wciąż dość szybko, i że pod tym względem najbliższy okres będzie a może już jest prawdziwą rewolucją umysłową.

Sadzić można, że teraz już zastanowić się warto nad dogmatycznym charakterem dwóch tez, z których jedna w sposób ogólny ustala miejsce dla zagadnień gospodarczych w ogólnej hierarchji wartości, druga zaś stanowi podstawę dla dalszych dedukcyjnych rozważań w płaszczyźnie gospodarczej:

1) uznaje się prymat wartości pozagospodarczych;

2) każda własność jest funkcją społeczną.

J. Rudziński.

KIERUNEK POLITYKI INWESTYCYJNEJ

Państwowe roboty inwestycyjne — mam na myśli roboty o charakterze dodatkowym, a więc nie podejmowane w ramach normalnego budżetu— nie przybrały jeszcze zakresu takiego, jak w krajach, gdzie są one środkiem nakręcania konjunktury. Ale bądź co bądź z roku na rok rozmiar ich jest większy, nawet z uwzględnieniem przerzucania czy to na Fundusz Pracy, czy to na Pożyczkę Inwestycyjną robót, które w innym wypadku byłyby sfinansowane z normalnych dochodów ciał publicznych. Zwłaszcza w zestawieniu z nikłą działalnością inwestycyjną kapitału prywatnego porcja 200 kilkudziesięciu miljonów, jaka przypadnie w tym roku budżetowym na dodatkowe inwestycje, stanowi wielkość poważną.

Inwestycje państwowe, podejmowane w ramach normalnego budżetu, mają swój określony charakter i kierunek. Wynikają one z bezpośrednich potrzeb, czy to administracji czy przedsiębiorstw publicznych. O jakimś ogólnym planie inwestycyjnym trudno byłoby tu mówić, swoboda decyzji jest ograniczona, conajwyżej można dyskutować nad większym lub mniejszym kosztem danej inwestycji, względnie o odłożeniu jej „na lepsze czasy". Inwesycje budżetowe mają sui generis charakter przymusowy wynikają z wewnętrznej logiki funkcjonowania aparatu państwowego. Inaczej jest z inwestycjami dodatkowemi. Tu swoboda decyzji jest bardzo znaczna. A jeśli mówi się o swobodzie decyzji, to tem samem wskazuje się na potrzebę planu. Planu tego nie zamierzam w tych szczupłych ramach omawiać, chodzi mi natomiast o zaakcentowanie kilku kryterjów, kilku wytycznych.

W dotychczasowej praktyce inwestycyjnej, w szczególności przy inwestycjach z Funduszu Pracy, a więc przy inwestycjach, podjętych z myślą zatrudnienia bezrobotnych, zostały ze szczególniejszą siłą zaakcentowane dwa kryterja. Po pierwsze finansowanie głównie najprostszych robót, w których koszcie robocizna stanowi maksimum, względnie (przy innych robotach) ograniczenia kredytu niemal wyłącznie do kosztu robocizny, przy pokryciu kosztów materjału ze źródeł innych, niż Fundusz Pracy. Po drugie koncentrowanie robót inwestycyjnych w ośrodkach o największem nasileniu bezrobocia. Pierwsze założenie stoi w mem przekonaniu poza sporem. Produkcja materjałów inwestycyjnych oczywiście także daje dodatkowe zatrudnienie, bądź w postaci zwiększenia ilości dni pracy w przedsiębiorstwach, bądź zwiększenia załogi robotniczej. Ale pomijając kwestję zysku kapitalistów, stawki płac są wtedy odmienne, wyższe od stawek, płaconych na robotach publicznych. Jeśli zatem w imię równomierniejszego podziału funduszu płac, w imię zwiększenia ilości osób, mających udział w tym funduszu, obciąża się pracowników najemnych opłatami na rzecz Funduszu Pracy, względnie redukuje się ich konsumcję, czy oszczędności poprzez rozlokowanie obligacyj Pożyczki Inwestycyjnej, należy konsekentnie przestrzegać zasady zatrudnienia możliwie wielkiej ilości rąk roboczych, co oczywiście następuje przy stosowaniu niższych stawek (bez przesady, która niestety czasem się zdarza). Motywacja powyższa jest motywacją znaną, a przypomnienie jej uważam tylko dlatego za celowe, iż powstaje obawa stracenia tego założenia z oczu przy dalszych robotach inwestycyjnych. (Pożyczka inwestycyjna w mniejszym już stopniu zużytkowana będzie na roboty najprostszego typu).

Ponadto za skierowaniem środków inwestycyjnych na roboty najprostsze przemawia jeszcze zagadnienie interesu rolnictwa. Nie chodzi mi tu bynajmniej o skomplikowaną kwestję zatrudnienia ludności rolniczej, co zresztą w mem przekonaniu jest równie sensowne, jak zatrudnienie bezrobotnych, wobec olbrzymiego przeludnienia wsi. Niezależnie jednak od tego problemu, który może być rozwiązany identycznie przy pewnych nawet różnicach w charakterze robót inwestycyjnych, istnieje problem wpływu robót na konsumcję płodów rolnych. Wpływ ten jest tem silniejszy, im większy odsetek kosztów inwestycyj stanowi robocizna, tem mniejszy, im większe są wydatki na materjał. Dlaczego? Opiera się to na wspomnianej wyżej różnicy stawek, płaconych na robotach publicznych i przy produkcji materjałów inwestycyjnych. Jak wiadomo, przy niższych płacach większy odsetek zarobku robotnika przeznaczony jest na artykuły żywności, przy wyższych mniejszy. Operując pewnem uproszczeniem, (gdyż płace nie stanowią jeszcze zarobków), można powiedzieć, iż różnica pomiędzy odsetkiem wydatków na żywność w budżecie robotnika zatrudnionego na robotach publicznych, a odsetkiem tychże wydatków w budżecie wyżej płatnego robotnika, zatrudnionego przy produkcji materjałów inwestycyjnych, stanowi w skali całości robót inwestycyjnych dodatkowe zwiększenie konsumcji produktów żywnościowych. Mówiąc inaczej, jest rzeczą jasną, że przy rozłożeniu

funduszu płac na większą ilość skromniej zarabiających jednostek, silniej wzrasta konsumcja żywności, niż przy rozłożeniu na mniejszą ilość lepiej zarabiających. Zważywszy, że idzie tu o roboty w skali 200 kilkudziesięciu miljonów, stwierdzić należy, że na tle dzisiejszego poziomu dochodu wsi kwestja wahań konsumcji artykułów rolnych w zależności od tego lub innego kierunku zamierzonych inwestycyj, nie jest bynajmniej do zlekceważenia.

I wreszcie ostatni moment. Inwestycje najprostsze, to drogi, regulacja rzek, itp. itp. Cała ta domena inwestycyj leży poza sporem co do jej celowości, stanowi klasyczny teren działalności państwa, działalności, która przez nikogo innego jak przez ciała publiczne podjęta być nie może. W miarę, jak posuwamy się w kierunku inwestycyj bardziej skomplikowanych, aż do budowy czy rozbudowy przedsiębiorstw, sprawa staje się coraz bardziej sporna. Spornem jest, czy na danym odcinku nie mogłaby się przejawić inicjatywa prywatna. Spornem jest, czy danego przedsięwzięcia nie dałoby się sfinansować z kredytów dostawców materjałów. Pomimo, że tak często i tak wiele mówi się o rozroście interwencjonizmu, stwierdzić należy, że nie osiągnął on jeszcze takiego stopnia, w którym istotne planowanie inwestycyjne jest możliwe. Jeśli zaś nawet w gospodarce planowej typu sowieckiego ryzyko fałszywych inwestycyj istnieje, to tem większe jest ono w doraźnych planach inwestycyjnych, budowanych w naszych warunkach. Im bardziej dana inwestycja jest skomplikowana, im bardziej odbiega od zaspakajania elementarnych potrzeb, przedewszystkiem komunikacyjnych, tem większe jest niebezpieczeństwo fałszywej dyspozycji.

Plany na rok 1935 — 36 są już gotowe. Wydaje się jednak przesądzonem, iż w roku 1936 — 37 będziemy mieli do czynienia z wzrostem, a nie z kurczeniem się inwestycyj publicznych. Okres, który nam pozostaje, powinien być zużytkowany dla pogłębienia i przedyskutowania zagadnienia kierunku inwestycyj.

Drugiego problemu, problemu regjonalnego rozdziału środków inwestycyjnych, nie zamierzam tu szczegółowiej omawiać. To też ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że jeśli przy małym rozmiarze robót inwestycyjnych można było oddać przewagę celowi likwidowania bezrobocia w ośrodkach największego jego nasilenia, o tyle, w miarę wzrostu sum przeznaczonych na roboty publiczne, będzie musiało być uwzględniane w coraz wyższym stopniu kryterjum potrzeb inwestycyjnych danego terenu. W przeciwnym bowiem razie prowadzilibyśmy do dalszego zaostrzenia dysproporcji pomiędzy uzbrojeniem kapitałowem regjonów przodujących i zacofanych w rozwoju. Z chwilą również wzrostu sum, przeznaczonych na roboty inwestycyjne następować musi większe równouprawnienie przeludnienia rolniczego z bezrobociem miejskiem, jako kryterjum do terytorjalnego rozmieszczenia robót.

c. b.

JAK JEST NAPRAWDĘ Z BILANSEM HANDLOWYM

Zaniepokojono się u nas ostatnio bilansem handlowym. Słusznie — chociaż, naszem skromnem zdaniem, nieco zapóźno. Oczywiście, jak zawsze w tego rodzaju dyskusji, zjawili się optymiści i pesymiści. Dla pierwszych ujemność bilansu handlowego w kwietniu i maju jest zjawiskiem przejściowem, które zniknie. Dla drugich — załamuje się już przez sam fakt powstania owego ujemnego salda w ciągu dwuch miesięcy cały nasz system polityki gospodarczej. Prawda leży, oczywiście, pomiędzy temi dwoma skrajnemi poglądami. Inna rzecz — że bliżej drugiego niż pierwszego.

Dlaczego Polska przez pięć zgórą lat kryzysu potrafiła utrzymać dodatni bilans handlowy? Istniały potemu przyczyny bardzo różnorodne, ale wszystkie zupełnie możliwe do sprecyzowania. W pierwszych latach kryzysu dzięki wcześniej przeprowadzonym posunięciom deflacyjnym byliśmy w stosunku do reszty świata *naprawdę konkurencyjni*. Deflacja redukowała gwałtownie nasz przywóz, podczas gdy wywóz spadał wprawdzie wartościowo, ale głównie z uwagi na powszechny spadek cen naszych towarów. Ilościowo trzymaliśmy się jako tako na wysokości — zwłaszcza, iż protekcjonizm kryzysowy innych krajów ogarniał tylko powoli dopiero poszczególne rynki. Mieliśmy wówczas „szerszy oddech" wywozowy, z którego korzystaliśmy w dużej mierze.

W miarę akcentowania się powszechnego spadku cen i zmniejszania się przez to naszej konkurencyjności wywóz spadać począł szybciej niż początkowo, ale przyszły mu w sukurs premje. Zamiast dewaluacji jednostki pieniężnej użyliśmy dla popierania wywozu pieniędzy podatkowych albo utrzymywaliśmy ceny wewnętrzne poszczególnych produktów skartelizownych na nadmiernie wysokim poziomie. Sposób — taki sam dobry jak każdy inny, o ile ma prowadzić właśnie do osiągnięcia zamierzonego celu.

Położenie poczęło się jednak pogarszać. Z jednej strony przywóz doszedł już do tego rodzaju poziomu, poniżej którego spadać dalej nie mógł bez wyraźnej szkody dla zaopatrzenia gospodarstwa narodowego w potrzebne surowce. W 1933 r. na 827 milj. zł. wartości ogólnego przywozu takie surowce jak bawełna, wełna, skóry surowe, stare żelastwo itd., dalej — takie niezbędne półprodukty i produkty jak przędza, tłuszcze techniczne, barwniki, maszyny i aparaty, przyrządy elektryczne itp. osiągnęły niemal wartość 600 milj. zł. czyli trzy czwarte całego przywozu. Główne pozycje konsumcyjne, pozycje, z których przy minimalnym nawet poziomie życia się nie rezygnuje, jak tytoń, kawa, śledzie, owoce — stanowiły zaledwie niecałe 9% ogólnej wartości przywozu. Trzeba było sobie innemi słowy powiedzieć, że dolna granica przywozu z zagranicy została osiągnięta, że granica ta, wahająca się w stosunku rocznym na poziomie 650 — 850 milj. zł. jest trudno przekraczalna — i że zatem dodatniość bilansu handlowego zależeć będzie odtąd *wyłącznie* od rozmiarów naszego *wywozu*.

To jedno. Przypomnijmy teraz strukturę nasze-

go bilansu handlowego według krajów. Stwierdzimy, że mamy notorycznie ujemny bilans handlowy z krajami zamorskiemi — i dotychczas wyraźnie dodatni bilans handlowy z Europą. Dlaczego mamy bilans ujemny z poza - Europą? Nie wchodząc w szczegóły, dlatego, że przywóz z za morza jest dla nas *niezbędny* (bawełna amerykańska, wełna australijska, skóry argentyńskie itd.), podczas, gdy wywóz nasz za morze jest *specjalnie* trudny, wymagający długich wieloletnich kontaktów, poszukiwań, wykwalifikowanej techniki itd. itd. Krótko mówiąc, można, być może, tu i owdzie bilans handlowy z jakimś krajem zamorskim polepszyć, ale — o ile nie chcemy zatrzymać całego naszego przemysłu, przerabiającego zamorskie surowce, — na zrównoważenie naszego bilansu z zamorskim światem niema co liczyć.

Stąd wniosek: aby utrzymać dodatniość bilansu handlowego *wogóle,* bilans nasz z Europą musi być *tak* dodatni, aby pokrył ujemność „zamorską" i dał jeszcze ponadto nadwyżkę. Tymczasem — cóż się dzieje w Europie?

Dzieją się rzeczy naogół znane, które w skrócie możnaby określić kilkoma następującemi formułami: niewypłacalność krajów dłużniczych, niewypłacalność i ograniczenia dewizowe w krajach, nakręcających konjunkturę, protekcjonizm rolny w krajach przemysłowych, dewaluacja i wynikająca stąd premja wywozowa w wywozie nietylko krajów dłużniczych, ale i wierzycielskich. I — oczywiście — jeszcze legjon trudności pomniejszych.

Czy w tych warunkach można utrzymać dodatniość bilansu handlowego? Zwłaszcza, kiedy ów niezbędny przywóz zamorski poczyna lekko rosnąć w cenie z uwagi na wyraźnie zaznaczające się tendencje stabilizacyjne w cenach surowców „światowych", podczas, gdy jednocześnie ceny naszych głównych artykułów wywozowych (produkty rolne strefy umiarkowanej, węgiel itd.) wykazują raczej spadkową tendencję cen?

Można. Ale trzeba nad tem *popracować.*

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną *lekkomyślność,* z jaką odnosiliśmy się dotychczas do spraw związanych z obrotem zagranicznym. Stale dodatnie saldo bilansowe od szeregu lat „rozzuchwaliło" nas w tym zakresie i (zacytujmy Boy'a myślano „w swym obłędzie, że to me święte prawo, że to tak zawsze będzie"... Tymczasem wokół nas poczęła się sytuacja z roku na rok a ostatnio już z miesiąca na miesiąc raptownie zmieniać. Tu — nowa niewypłacalność, tam — nowe ograniczenia przywozowe, jeszcze, gdzieindziej — stajemy się (przy naszej walucie) już nieco zbyt drodzy, a jeszcze gdzieindziej znów mamy do zwalczenia nieprzezwyciężone przeszkody polityczne, techniczne itd. itd.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną — powtarzamy — że kraj, który *jedyny* na całej kuli ziemskiej wziął taki kurs polityki gospodarczej, że w okresie powszechnego marazmu w międzynarodowym obrocie kapitałów i ograniczeń w handlu światowym *upiera się* przy zdrowej walucie i płaceniu swych zobowiązań z nadwyżek bilansu handlowego, poświęca temu właśnie bilansowi uwagę zupełnie *minimalną.* Kraje, które równoważą swe bilanse płatnicze sztucznie — przez ograniczenia dewizowe, a więc takie, które powinnyby i mogłyby „spać spokojnie", zajmują się handlem międzydzynarodowym o wiele od nas więcej. A przedewszystkiem — w obliczu tych niesłychanych trudności, jakie napotyka obecnie sama *technika* międzynarodowych stosunków wymiennych, potrafiły stworzyć sui generis dyktaturę w zakresie wszystkich spraw związanych z bilansem płatniczym. Dr. Schacht jest w Niemczech — trzeba pamiętać — *jednocześnie* ministrem gospodarstwa narodowego i prezesem Reichsbanku.

Nie aspirujemy aż do *takiej* dyktatury. Ale u nas, nietylko Bank Polski stoi zupełnie na uboczu od spraw związanych z ogólnem kierownictwem naszej polityki handlu zagranicznego, ale — co najważniejsze — w zakresie eksportu panuje niesłychany zamęt i pomięszanie kompetencyj. W zasadzie — odpowiedzialny za politykę handlową jest departament handlowy ministerstwa przemysłu i handlu. Ale nie posiada on, ani specjalnych środków *technicznych* na wykonywanie zwiększonych obecnie zadań, ani odpowiednio gwarantowanych *kompetencyj* dla przeprowadzania swych zamierzeń. Cała gospodarcza służba zagraniczna jest w rozporządzeniu ministerstwa spraw zagranicznych, które za bilans handlowy, o ile wiemy, nie odpowiada. Nawewnątrz eksportem zajmuje się „kto chce". Instytucje, które powinny pilnować go w zakresie branżowo - technicznym mięszają się do jego polityki. Takie produkty jak węgiel, nafta czy metalurgja administrowane są pod względem eksportowym oddzielnie. Premjowanie wywozu rolnego jest w ministerstwie rolnictwa i odbywa się zupełnie niezależne od kierownictwa polityki handlowej. Monopole załatwiają swoje sprawy zagraniczne — osobno. Wojsko — również. Umowy turystyczne, stanowiące obecnie tak ważny moment w obrotach międzynarodowych („trzoda chlewna za turystów..."), załatwiane są niewiadomo z jakiej racji przez ministerstwo spraw zagranicznych, przyczem wtrąca się tam ministerstwo komunikacji, spraw wewnętrznych, skarbu, — ale jaknajmniej właśnie resort odpowiedzialny za nasze obroty zagraniczne. Ministerstwo skarbu — w zgodzie zresztą z fundamentalnemi zasadami naszej polityki gospodarczej — płaci swe zobowiązania wszystkim krajom bez względu na to, czy kraje te nam płacą czy nie. Et caetera, et caetera...

W ten sposób minister przemysłu i handlu, odpowiedzialny za bilans handlowy, a właściwie organ mu podległy, jakim jest departament handlowy, *skrępowany* jest w działaniu swem biurokratyzmem zupełnie niesamowitym. Jak w tych warunkach można podjąć walkę, tak trudną, objektywnie, jak ta, gdzie chodzi o poprawianie krok za krokiem naszego bilansu z *każdym* krajem zamorskim zosobna, o wywalczanie sald dodatnich z *każdym* krajem europejskim w odmienny dla każdego sposób w zależności od sytuacji, w jakiej znajduje się on sam i nasze stosunki z nim?... Jak wogóle można robić tę „koronkową robotę", jaką jest dziś polityka handlowa, zwłaszcza, kiedy brak tego ro-

dzaju brutalnych narzędzi, jak ograniczeń dewizowych, monopolu handlu zagranicznego itp.?

Czy możemy mieć dodatni bilans handlowy? Powtarzamy: możemy. Ale wyjątkowe zadania w tej dziedzinie w chwili obecnej muszą być wykonywane *zupełnie wyjątkowemi* środkami.

a. w.

CZY TAK JEST NAPRAWDĘ...

Rozważania na temat „jak jest naprawdę z bilansem handlowym" podzielone zostały przez pana a. w. na dwie części. Pierwsza — dotyczy gospodarczej strony zagadnienia, druga — omawia problemy polityczno - handlowe i administracyjno-organizacyjne. Tej ostatniej sprawie autor przypisuje rolę jeśli nie decydującą, to w każdym razie nieproporcjonalnie wielką. Czy tak jest naprawdę?

Pan a. w. przypomina, że przez długi czas utrzymywaliśmy aktywne saldo drogą kurczenia przywozu oraz premjowania wywozu ze źródeł skarbowych i z „kartelowego podatku wywozowego" w postaci sztucznie wysokich cen wewnętrznych. Dalej kurczyć przywóz bodajże niesposób, gdyż osiągnęliśmy już „dolną granicę", a premjowanie nie wystarcza wobec trudności polityczno-handlowych i struktury kierunkowej wywozu...

Wydaje mi się, że sprawa jest znacznie więcej skomplikowana. Jestem gotów podpisać się z góry pod każdem mocnem określeniem, dążącem do uprzytomnienia opinji, że nasz przywóz jest za mały. Jest za mały z punktu widzenia możności zaspakajania potrzeb wyższego rzędu, z punktu widzenia racjonalnego wykorzystania choćby w zwężonym zakresie międzynarodowego podziału pracy, z punktu widzenia znanej prawdy, iż nie można wywozić, jeśli się nie dopuszcza przywozu. Z tych też względów nie sądzę, ażebyśmy robili interes na protekcjonizmie przemysłowym, który, zwłaszcza w okresie kryzysu i w kraju ubogim w kapitały, nakłada na życie gospodarcze obciążenia, nie dając przeciwwagi w postaci rozbudowy nowych działów wytwórczości (choćby nawet sztucznej). Dodać należy, że uniwersalizm naszej ochrony celnej paraliżuje jej pozytywne strony. Przy uniwersalnej ochronie obciążenia grają z całą mocą, natomiast wychowawcze działanie jednej stawki celnej jest przekreślane przez przeciwstawne oddziaływanie innych.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa z tego punktu widzenia, który formalnie przynajmniej jest od lat wytyczną naszej polityki w zakresie bilansu handlowego. Wytyczna ta polega na traktowaniu obrotu zagranicznego nie jako narzędzia ogólnej polityki gospodarczej ,lecz jako środka, służącego jednemu określonemu, wyraźnemu celowi. Ten cel — to uzyskanie poprzez aktywny bilans handlowy możliwości obsługi zobowiązań i utrzymywania stałego kursu pieniądza. Cel ten tak samo przechodzi do porządku dziennego nad kwestją wpływu takiej polityki na stopę życia ludności i sytuację zakładów wytwórczych, jak to czyni względnie czynić może dajmy na to polityka deflacyjna prowadzona w imię zdrowej struktury na przyszłość. Otóż konsekwencja polityki ograniczania importu załamała się z chwilą, kiedy po prawie dokładnem wygoleniu całego przywozu przemysłowego kurczenie importu musiałoby objąć surowce przemysłowe i niektóre artykuły spożywcze. Nie martwi mnie bynajmniej to, że przynajmniej w tym etapie — nastąpiło pewne zahamowanie tempa w niszczeniu naszego handlu zagranicznego. Przeciwnie, w pełni doceniam trudność i pewną odwagę moralną takiej postawy, wobec rozpętania poprzednio burzy samowystarczalnościowej. Ale z punktu widzenia tych kryterjów, które w interesie aktywnego salda kazały nam przez szereg lat redukować import, niema doprawdy żadnej różnicy pomiędzy zagranicznemi tłuszczami i owocami, o których mówi pan a. w. a temi zagranicznemi wyrobami, których przywóz jest już od lat uniemożliwiony. Pan a. w. używa wyrażenia „pozycje, z których przy minimalnym nawet poziomie życie się nie rezygnuje, jak tytoń, kawa, śledzie owoce". Istotnie, nie powinno się z nich rezygnować, jeśli się stoi na gruncie, że celem gospodarowania jest lepsze zaspokojenie potrzeb. Natomiast nie widzę żadnej różnicy pomiędzy dajmy na to zahamowaniem przywozu tytoniu, kawy, śledzi i owoców, a poprzedniemi posunięciami naszego protekcjonizmu przemysłowego, które wprawdzie nie dotyczyły przywozu kawy, śledzi i owoców, ale zato—współdziałając z innemi pokrewnemi posunięciami — zakłóciły równowagę w podziale dochodu społecznego tak, iż dla bardzo znacznego odsetka ludności stał się niemożliwością zakup nietylko kawy i owoców, ale nawet śledzi i tytoniu. Ani protekcjonizm, ani liberalizm nie dają się w pewnym dowolnym punkcie zatrzymać. Przy zmianie kursu trzeba iść wstecz, bez zmiany dalej naprzód. W pierwszym wypadku będziemy mogli wywozić i musieli przywozić to czego nie przywozimy i nie wywozimy dotychczas, w drugim po troszeczku przejdziemy do polityki namiastek na wzór niemiecki, będziemy nosić parciane koszule i jadać kartofle zamiast owoców. Tertium non datur, bo zatrzymanie się akurat w obecnym punkcie miałoby tylko w jednym wypadku uzasadnienie — wtedy mianowicie, gdyby dotychczasowe ograniczenia przywozu nie były wynikiem polityki obrony bilansu handlowego, lecz poprostu owocem narastania protekcjonizmu przemysłowego. Dalszy szereg uwag nasuwa zlekka tylko potrącony przez pana a. w. problem popierania eksportu. I to nietyle popierania przez premje, co przez „kartelowy podatek". Ciężar bowiem tego ostatniego grubo przerasta wysokość premji, wypłacanych poprostu ze środków państwowych. Otóż „podatek kartelowy" na rzecz wywozu ma tę właściwość, że ułatwiając eksport, jednocześnie go z równą skutecznością hamuje. Ciężar premji ze środków skarbowych rozkłada się na całość życia gospodarczego. Potencjał eksportowy gałęzi obciążonych maleje, ale na żadnym odcinku nie występuje to tak jaskrawo, ażeby można było dostrzec „gołem okiem". Natomiast wystarczy przeprowadzić niezmiernie proste obliczenia, ażeby ustalić, jak na całym wywozie przemysłowym ciąży kwestja kartelizacji węgla. Jeszcze prościej, bo drogą zajrzenia do kalkulacji zaprzyja-

źnionej fabryki przemysłu metalowego przetwórczego i porównania jej oferty z ofertami konkurencji zagranicznej, można ustalić, że kartelizacja hutnictwa, nie zapewniając wzmożenia wywozu hutniczego, utrudnia wywóz przemysłu metalowego przetwórczego. W wywozie tym na szale walki konkurencyjnej moglibyśmy rzucić nasz największy atut — atut nędzy — taniość rąk roboczych. W tych warunkach wydaje mi się koniecznem uzupełnienie wywodów pana a. w. stwierdzeniem, że stopniowo wobec szeregu zmian w zakresie naszych możliwości eksportowych przeszliśmy do okresu, kiedy za cenę obciążenia kartelowego uzyskiwaliśmy efekt wywozowy, do okresu, kiedy obciązenie to nietylko staje się bezpłodne, ale wręcz hamujące dla rozwoju eksportu nieskartelizowanych gałęzi produkcji.

Na tle powyższych wywodów inaczej nieco przedstawia się również problem „kierunków" naszego handlu zagranicznego. Istotnie, jesteśmy zmuszeni w obrocie z Europą zdobywać saldo aktywne dla pokrycia salda ujemnego z obrotów zamorskich. Ale ten stan rzeczy uległ wyjaskrawieniu właśnie na tle tego, o czem pisaliśmy wyżej. Na tle zahamowania przywozu przemysłowego z Europy, za który mielibyśmy kompensaty polityczno - handlowe, na tle obciążenia drobnicy eksportowej na rzecz ważkich artykułów z repertuaru ciężkiego przemysłu. Dodajmy do tego wzmiankowany przez pana a. w. brak środków technicznych do przemiany spłaty zobowiązań pieniędzmi na spłatę zobowiązań towarem, a otrzymamy — niekompletny zresztą — obraz tego, co jest naprawdę. W obrazie tym zmuszeni jesteśmy położyć jak największy nacisk na problemy o zasadniczem znaczeniu, na problemy z płaszczyzny ogólnej polityki gospodarczej. I dlatego w przeciwieństwie do pana a. w., który przeniósł akcent na zagadnienia organizacyjno - administracyjne, wydaje się nam, że nie w nich, lecz właśnie w zagadnieniu ogólnej polityki gospodarczej leży klucz do sprawy bilansu handlowego.

Kilka słów jeszcze o tych nieszczęsnych sprawach kompetencyjnych, organizacyjnych, technicznych, którym tyle miejsca poświęca pan a. w. Kilka słów tylko, bo oczywiście o tej grupie problemów szczegółowo mówić potrafi tylko specjalista. Że jest wiele do przeorganizowania w administracji naszego handlu zagranicznego — wierzę. Chociażby na podstawie tego, co czytywałem w „Gospodarce". Że gruntowna przebudowa naszej administracji gospodarczej — nie koniecznie w sensie dyktatury polskiego Schachta — scentralizowanie i ujednolicenie naszej polityki gospodarczej wielce przyczynić się może do lepszego rozwiązywania wszelkich problemów, a w tym rzędzie i spraw handlu zagranicznego —jestem od dawna przekonany. Natomiast pan a. w. ujmuje tę sprawę zbyt prosto... Jest jeden Departament w jednem z Ministerstw, któremu trzeba zwiększyć kompetencje i zwolnić go od pęt biurokratyzmu. Otóż ze sprawą kompetencji łączy się jedna tylko grupa przejawów biurokratyzmu — kolegjalność. Inne przejawy każda komórka organizacyjna jest w stanie w swem łonie wytępić bez żadnych zmian kompetencyjnych. Skąd natomiast bierze się kolegjalność w polskiej administracji gospodarczej? Stąd, że nie są ustalane zasady. Kiedy niema ustalonych zasad, praktyka tworzy politykę. Nie wątpię, że koronkowa robota polityczno-handlowa zyskałaby wiele na usunięciu kolegjalności. Ale póty, póki wytyczne dla tej roboty nie są zawarte w wyraźnym, żelaznym programie, traktowanie polityki handlowej jako domeny świadomie odizolowanej od innych dziedzin polityki gospodarczej mogłoby prowadzić do jednego tylko. Do poprawienia bilansu handlowego kosztem wniesienia dalszych zakłóceń w przebieg całego życia gospodarczego i rozdział dochodu społecznego. Koncentracja kompetencji, o jakiej mówi pan a. w. nie jest rzeczą niemożliwą. Wymaga jednak pewnych preliminarjów, np. w postaci stworzenia Ministerstwa Gospodarki Narodowej. Dopóki tych preliminarjów niema, koncentracja groziłaby zapoznaniem wszystkich wielostronnych wpływów i funkcyj, jakie spełnia handel zagraniczny, na rzecz jednej jedynej z nich, na rzecz *doraźnej* obrony bilansu handlowego.

g. t.

KONCESJE

Zgóry wyjaśniamy, że nie mamy na myśli koncesyj w sensie, przyjętym dla określenia sposobu *zrzeczenia* się przez uprawnionego (np. państwo) wykonywania pewnych czynności zarobkowych i przelania tych uprawnień na inne osoby czy instytucje (np. kapitał zagraniczny). Nie będzie tu zatem chodziło o koncesje w stylu — powiedzmy — sowieckim, lecz o koncesje, których istotę stanowi *nadanie* przez władzę państwową uprawnień *wyjątkowych*, specjalnych, w zasadzie niedostępnych, w każdym razie dostępnych tylko pod takiemi czy innemi warunkami.

Polska ustawa przemysłowa, która opiera się na t. zw. przemyśle wolnym, zna również instytucję koncesyj i koncesjonowania. Koncesja, będąc wyjątkiem od reguły, która stanowi dozwolone każdemu i podlegające jedynie zgłoszeniu (zarejestrowaniu) wykonywanie przemysłu wytwarzającego, przetwarzającego, handlowego lub usługowego, koncesja — powtarzamy — rozumiana jest jako szczególne uprawnienie, przysługujące osobom czy instytucjom po uzyskaniu od władzy publicznej nietylko zatwierdzenia ich przedsiębiorstwa, lecz przedewszystkiem wyraźnej *delegacji.*

Źródłem, a raczej podstawową przyczyną istnienia systemu koncesyjnego jest presumpcja, że interes państwowy i bezpieczeństwo publiczne wymagają pewnych ograniczeń co do wyboru i sposobu prowadzenia przemysłu. „Nawet w krajach owianych duchem liberalizmu — czytamy w komentarzu do polskiej ustawy przemysłowej *) — i stojących wysoko pod względem swobód konstytucyjnych są niektóre rodzaje przemysłu objęte systemem koncesyjnym". W Szwajcarji system ten dotyczy zakładów lombardowych (to samo we

*) „Polska ustawa przemysłowa z objaśnieniami" (A. Dobieckiego i R. Ślaskiego). Poznań 1927 r. (str. 110).

Włoszech, Niemczech i Anglji), handlu wyrobami ze złota i srebra, handlu starzyzną (to samo we Francji), wyrobu zapałek, przemysłu przewozowego, czynności przewodników i posłańców i t. d.; Włochy znają koncesjonowanie przemysłu gospodnio - hotelarskiego i szynkarskiego (jak w Anglji i Niemczech), wyrobu i sprzedaży środków wybuchowych (jak w Anglji) i zakładów kąpielowych; Francja poddaje koncesjonowaniu handel środkami leczniczemi i pośrednictwo pracy; Anglja koncesjonuje handel starem żelastwem, wyrób chemikaljów i nawozów sztucznych oraz kominiarstwo. Największą pasję w stosowaniu systemu koncesyjnego wykazała jednak przedwojenna Austrja, gdzie zgórą 40 rodzajów przemysłu, handlu i usług wymagało koncesji; koncesjonowano przemysł prasowy czyli drukarnie, litografje itp. oraz księgarnie, antykwarnie i czytelnie, handel bronią, amunicją i materjałami wybuchowemi, zakłady kąpielowe, wyrób i sprzedaż sztucznego wina i sztucznych wód mineralnych, sprzedaż trunków, instalacje wodociągowe, przemysł budowlany, handel starzyzną, zakłady pogrzebowe, biura informacyjne o stosunkach kredytowych itd.

Nasze ustawodawstwo szczęśliwie nie wkroczyło na tory prawodawstwa austryjackiego, unikając przesadnej, policyjnej gorliwości, jaka cechowała to drugie. Polska ustawa przemysłowa wprowadziła pierwotnie (w 1927 r.) 13 rodzajów przemysłu, handlu i usług, wymagających koncesjonowania, w 1934 r. zaś nowela dorzuciła jeszcze 3 rodzaje i skreśliła 1 (zakłady zastawnicze, gdyż opiekuje się niemi ustawa bankowa). Pierwotne projekty ,aby systemem koncesyjnym uszczęśliwić jadłodajnie, kawiarnie i herbaciarnie, nie zostały przyjęte jeszcze w 1927 r. Natomiast nowela z roku 1934 wprowadziła zmianę nader zasadniczą, dając Radzie Ministrów prawo każdorazowego, w miarę potrzeby, rozszerzania listy przemysłów koncesjonowanych.

Co jest istotą, co jest uzasadnieniem koncesjonowania — i to, podkreślmy, koncesjonowania z punktu widzenia prawa przemysłowego, jeżeli to ostatnie uznamy za jedną z najważniejszych form potrzeb i tendencyj gospodarczych?... — Istotę polskiego (i obcego) systemu koncesyjnego stanowi t. zw. interes publiczny i konieczność zapewnienia jego ochrony. Nie każdemu państwo powierza wyrób materjałów wybuchowych, broni i amunicji, wyrób i sprzedaż statków powietrznych, wyrób kwasu azotowego lub syntetycznych barwników organicznych. Wzgląd na bezpieczeństwo państwa, moment obrony kraju wysuwa się tu na plan pierwszy i wypełnia bez reszty plany pozostałe. Podobnie ma się sprawa z koncesjonowaniem t. zw. wywiadowni kredytowych, gdzie chodzi przedewszystkiem o zapobieżenie akcji obcego wywiadu gospodarczego. Kiedyindziej znów interes publiczny rozumiany jest zupełnie po „cywilnemu": mamy tutaj na myśli bezpieczeństwo ogniowe (stąd koncesjonowanie kominiarzy), bezpieczeństwo sanitarne (handel starzyzną, przemysł rakarski) i bezpieczeństwo mienia (hotele itp., biura podróży, biura windykacyjne, sale licytacyjne, zakładanie instalacyj wodociągowych, gazowych i t. p. oraz przemysł tragarzy).

Ale — zapyta czytelnik — gdzie tutaj są względy *ekonomiczne?* Przecież poza grupą przemysłów, gdzie przemawia motyw ochrony mienia (i to pojęty pod kątem jednostkowym, a nie zbiorowym), wszystkie inne przemysły poddano systemowi koncesyjnemu z przyczyn całkowicie pozagospodarczych. A zatem ustawa przemysłowa, ustawa gospodarcza nie służy interesom gospodarczym — i to jeszcze w takim stanie rzeczy, kiedy szereg innych ustaw załatwia na własną rękę problem koncesyjny. Czy to wspomniane prawo bankowe, czy to ustawa o filmach, czy też rozporządzenie o koncesjonowaniu wyrobu, naprawy i sprzedaży narzędzi mierniczych — wszędzie mamy do czynienia z koncesjami, ale pomyślanemi nie pod kątem gospodarczym.

I dlatego dzisiaj słowo: koncesja posiada charakter niemal wyłącznie policyjny, co nie wyklucza, że skutki koncesji są również, o ile nie przedewszystkiem, socjalne i ekonomiczne. Ale to nie obchodzi używających i nadużywających systemu koncesyjnego. Ledwo wprowadzono w życie koncesjonowanie taksówek (pod pozorem walki z nadmierną konkurencją), a już się przemyśliwa o koncesjonowaniu... dorożek konnych. Nie wystarczył obowiązek (dotychczas, coprawda, tylko na papierze) uzyskania koncesyj przez tragarzy, dąży się jeszcze do narzucenia tego obowiązku informatorom i przewodnikom turystycznym. Tu i owdzie mówi się o konieczności koncesjonowaniu zawodu fotografów, a o koncesjach dla budowniczych, majstrów i przedsiębiorców budowlanych (jak to miało miejsce w Austrji) już się nie mówi, lecz — krzyczy. Przez furtkę znowelizowanego art. 12 ustawy przemysłowej usiłuje się teraz wepchnąć każdy przemysł (zwłaszcza usługowy), z którym ta czy inna władza *administracyjna* ma te czy inne kłopoty.

Najciekawsze (a może najgorsze) jest to, że do postulatów, jak mówimy, o tle czysto administracyjno - policyjnem, doczepia się motywację gospodarczą. Jej Leitmotiv'em jest chęć uregulowania podziału dochodu społecznego w taki sposób, by Paweł nie zarobił, a Gaweł miał zapewnione minimum egzystencji. W praktyce tendencja ta prowadzi do sytuacji monopolistycznej, przyczem kryterjum doboru również nie jest gospodarcze, lecz wszelkie inne.

j. gozd.

PODATEK WYRÓWNAWCZY

W związku z reformą podatku gruntowego w Nr. 5 „Gospodarki Narodowej" — spotykaliśmy mimochodem uczynioną dyskwalifikację podatku wyrównawczego*).

Pan c. k. nazywa go „anomalją", jako jedyny podatek oparty — w praktyce — o zasadę, iż wysokość opodatkowania jest tem większa im biedniejsza jest opodatkowana gmina".

Wobec tego, że podatek wyrównawczy odgrywa od r. 1924 poważną rolę w budżetach gmin miejskich, stanowiąc przeciętnie 40% ich normalnych

*) patrz „Gospodarka Narodowa" Nr. 5. z 1 marca.

dochodów, — prawdopodobnie nie da się tak łatwo zlikwidować.

Należy się więc mu baczna uwaga i zbadanie, czy w istocie można go uważać za „anomalję“, czy też za zjawisko normalne w tym układzie obowiązków, jakie polskie ustawodawstwo nałożyło na gminy wiejskie.

Naprzód kilka słów o genezie podatku wyrównawczego.

Ustawa o tymczasowym uregulowaniu finansów Komunalnych z 1923 roku stanowiła o finansach gmin wiejskich, miast i powiatów prawie na oślep. Uchwalona w okresie najsilniejszego natężenia dewaluacji marki polskiej, kiedy wszystki było płynne, kiedy nie można było i nie wolno było zbierać żadnych statystyk — weszła w życie roku 1924 już za panowania złotego polskiego.

Pierwsza próba ułożenia budżetów wykazała dokładnie jego kardynalne braki. O ile finansom miast reforma 23 roku wyszła na dobre, o tyle powiaty i gminy wiejskie absolutnie nie mogły związać końca z końcem. I to braki nie małoznaczne. Gminom brakowało pokrycia wydatków na szkolnictwo powszechne, powiatom na konserwację dróg. I w jednym i w drugim wypadku około 40% wydatków. Trzeba było zaradzić złu. Nikt bowiem nie myślał zgodzić się na zniszczenie dróg, ani na zamknięcie szkół. Projekt opłat drogowych urodził się na konferencji w Ministerstwie Skarbu w głowie jednego z twórców ustawy pod wpływem krytyk przedstawicieli powiatu, a podatek wyrównawczy zainicjowali posłowie ludowi, aby ratować szkolnictwo. Nie chciano się odrazu pogodzić z podatkiem wyrównawczym na stałe. Uchwalono go na rok, przedłużano, modyfikowano — jednak on trwał, aż do dni dzisiejszych *jako konieczność*. Bez niego w 100% gmin wiejskich zbiorowych budżetu zbudować nie można choćby redukcję wydatków przeprowadzało sto komisji oszczędnościowych.

Jeżeli się chce ten podatek znieść, trzeba dać gminom inne źródła dochodu. Dla gmin to będzie wszystko jedno — tylko czy znajdzie się te inne źródła poza przychodem z ziemi, z domu i z przemysłu, handlu, na których opiera się podatek wyrównawczy?

Teraz o strukturze tego podatku.

Podstawą podatku wyrównawczego są: państwowy podatek gruntowy, (bez 100% podwyżki) państwowy podatek od nieruchomości i opłaty za świadectwa płacone przez przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, czyli grunt, dom, handel i przemysł, a właściwie przychód z tych 4 źródeł. Niczego innego w gminie wiejskiej nie znajdziemy.

Czy stosunek między temi podstawami jest słuszny to rzecz inna. Każdy może łatwo stwierdzić, że gdy podatek od nieruchomości, czy od gruntu jest zasadniczem obciążeniem to świadectwo przemysłowe stanowi obciążenie dodatkowe, czyli gdy wymierzamy 100% dodatek z tytułu podatku wyrównawczego to obciążamy nieruchomość i grunt bardzo poważnie, a przemysł i handel tylko lekko dotykamy. Ale zagadnienie to jest z punktu widzenia tematu, który poruszamy, drugorzędne i praktycznie mniej ważne dla gmin wiejskich, na terenie, których mamy stosunkowo niewiele zakładów przemysłowych i handlowych.

Wymiar podatku wyrównawczego następuje w procentowym stosunku sumy podstawy wymiarowej (trzech podatków państwowych) do sumy potrzebnej dla zbilansowania dochodów z wydatkami.

Przy układaniu budżetu gmina ustala a) wydatki, b) dochody swoje ze wszystkich źródeł (majątku, opłat, przedsiębiorstw i podatków ściśle określonych). Jeżeli te dochody nie wystarczają wymierza się podatek wyrównawczy. O ile podstawa wymiaru w danej gminie wynosi 1.000.— zł., a dla uzyskania równowagi budżetu potrzeba 500.— zł. podatek wyrównawczy wynosi 50%, jeżeli potrzeba 2.000.— zł. podatek wyrównawczy będzie 200%. W zasadzie tyle ile potrzeba: ustawodawca jednak określił granice ostateczne, a mianowicie:

Ogólna suma podatku wyrównawczego nie może przekraczać w woj. poznańskiem i pomorskim 4-tej części wpływu z gruntów opodatkowanych w gminie, w województwach południowych połowy tych wpływów, w województwach wschodnich półtora raza, a w centralnych 2 razy większej kwoty.

W rzeczywistości jest tak, że im mniejsza jest podstawa wymiaru, tem wyższy procentowo jest podatek wyrównawczy.

Czy można nazwać to anomalją?

Przykłady **podobnych systemów** znamy zblisko dość dobrze.

Przed wojną samorząd wogóle był mniej ograniczony.

Gminy wiejskie w b. zaborze rosyjskim uchwalały podatek gminy od gruntu w tej wysokości w jakiej był potrzebny. Gminy bogatsze miały ten podatek procentowo mniejszy, gminy uboższe większy. Gminy, które utrzymywały szkołę, czy budowały dom gminny większe, a gminy, które miały budżet tylko wegetatywny mniejsze. Wszyscy się z tem godzili. System podatkowy gmin i powiatów w Prusiech też opierał się na prawie analogicznym podatku wyrównawczym. Po ustaleniu wydatków i dochodów ze źródeł określonych resztę brakującą pokrywano dodatkiem komunalnym, opartym na idealnym wymiarze podatku od przychodu z ziemi, budynku, zajęć przemysłowych i handlowych; zależnie od potrzeb i zamożności gminy t. j. wielkości idealnego podatku; dodatki gminne i powiatowe były większe i mniejsze — rozpiętość była bardzo duża.

Toż samo znajdujemy w ustawodawstwie austrjackiem. Ustawa gminna z r. 1866 w § 77 postanawia: „O ile w § 72 oznaczone nie wystarczają do pokrycia wydatków na cele gminne, rada może nakładać: a) dodatki do podatków bezpośrednich lub do podatku konsumcyjnego itd.“.

Te dodatki mogły sięgać od 1 — 150% i musiały być na wszystkie w gminie przepisane podatki bezpośrednie według tej samej stopy procentowej rozłożone.

Znowu rozpiętość ogromna. W rzeczywistości były gminy bogate, które zupełnie dodatków nie pobierały, a były też takie, które ściągały do 100% dodatków.

Przykładów przytoczyć można jeszcze wiele.

To co nazywa p. c. k. anomalją *jest zjawiskiem zupełnie normalnem.*

Niema dwu gmin o identycznej zdolności finansowej. Tak jak poszczególne gospodarstwa, poszczególni ludzie, tak i gminy jedne są bogatsze, drugie biedniejsze. Jeżeli na jedne i drugie nałożymy te same obowiązki muszą biedniejsze z siebie więcej proporcjonalnie wydobyć, aby sprostać zobowiązaniom.

Otóż wyraźnie trzeba stwierdzić — na gminach w Polsce ciążą te same obowiązki niezależnie od tego, czy jedna może z normalnych źródeł swoich wydostać 20.000.— zł., a druga tylko 10.000.— zł. Jedna i druga musi utrzymać ten sam urząd gminny, tyle samo szkół, dróg. Biedniejsza nawet w zasadzie będzie potrzebowała *większych* sum na koszta leczenia i opieki społecznej, gdyż będzie miała więcej uboższej ludności. Dlatego chce, czy nie chce musi ona wziąć dwukrotnie, czy czterokrotnie większy procentowo podatek wyrównawczy, żeby móc egzystować.

Innego wyjścia niema — chyba, że ktoś dopłaci biedniejszej gminie z funduszów publicznych.

Redukować wydatki w gminach niesposób — każda kwota to wydatek opancerzony już zredukowany do minimum. Te 13 milj. złotych, które miasto Warszawa ma stracić z tytułu nieściągniętych kosztów leczenia, to nie nieuwaga urzędników miejskich — to wynik braku środków pokrycia tych rachunków u gmin wiejskich i miasteczek. Teoretycznie jest jeszcze jedno wyjście, aby uzyskać większą równość obciążenia. Jeżelibyśmy chcieli „ulżyć" biedniejszym gminom — musielibyśmy odstąpić od *powszechności* najważniejszych obowiązków, które ciążą na gminach, musielibyśmy zgodzić się na poważną odmienność poziomów zaspakajania potrzeb.

Jeżeliby gminy miały prawo płacić dodatki za mieszkanie dla nauczycieli zależnie od swojej możności, gdyby miały prawo redukować ilość szkół, lub zredukować świadczenia dla tych szkół, gdyby mogły zamiast rutynowanego sekretarza i jego pomocników zadowolnić się pracą nauczyciela, czy gospodarza z kilkuklasowem wykształceniem, pracujących w gminie pobocznie — to wtedy do gminy biedniejszej moglibyśmy powiedzieć — „nie masz takch środków jak gmina bogatsza, to możesz dać swojej ludności gorsze warunki rozwoju".

Ale czy to jest możliwe, czy *interes Państwa* mógłby na podobne ograniczenia pozwalać, czy wreszcie sami gminiacy chcieliby skorzystać z podobnej *swobody obniżania* poziomu zaspakajania swoich potrzeb indywidualnych i zbiorowych — wątpimy bardzo.

O ile tę ewentualność odrzucimy, a nie mamy udowodnionej tezy, że wydatki gmin najbiedniejszych można zredukować przez wyrzucenie wydatków luksusowych, czy zbędnych, musimy przyjąć, że podatek wyrównawczy jest dla gmin koniecznością.

Wacław Gajewski.

STEFAN MEYER

STAŁA WALUTA

Stała waluta jest ideałem, nieosiągalnym w naszych warunkach gospodarczych.

Stała waluta jest ideałem badacza, naukowca, jest ideałem polityka, skarbowca, ubezpieczeniowca, jest ideałem człowieka interesu, kupca, wierzyciela, kalkulatora. — Jest ideałem nieosiągalnym w naszych warunkach gospodarczych.

Pojęcie waluty jest starsze, aniżeli pojęcie monety; jest to bodaj pierwsza cecha tego skomplikowanego pojęcia jakiem jest pieniądz, pierwsza w historycznym rozwoju. Posiadamy dokumenty z pierwszych wieków państwa nowo - egipskiego (XVI — XIII wiek przed Chrystusem) stwierdzające istnienie miary wartości, wyrażonej w jednostkach wagi miedzi, w okresie gdy ani zapłata nie następowała w metalu, ani w obiegu nie było monet Była to więc jednostka obrachunkowa wartości. Monety daje nam dopiero Grecja i daje zarówno pełnowartościową monetę srebrną, wzgl. miedzianą jak i kredytowy znak obiegowy państwowy — monetę żelazną Likurga. Klasyczna helleńska starożytność daje też ludzkości stosowany wielokrotnie do dni naszych wybieg oddłużeniowy, daje, łamiąc rękami Solona drachmę, dewaluację pełnowartościowej monety.

Znał świat starożytny również: walutę państwową — np. Dariki złote — bite przez króla królów, mające kurs przymusowy w całem państwie Perskiem obok walut srebrnych i innych lokalnych satrapów, znał bimetalizm — w Rzymie do Nerona, — monometalizm ze zbilonowaniem srebra i miedzi, znał inflację, zarówno związaną z dewaluacją (od Komodjusza do Dyoklecjana) jak i bez dewaluacji — czystą inflację złotą (za Aleksandra po rozgromieniu Persji).

Nie znały owe czasy jednak waluty manipulowanej. Waluty niezależnej od kursu metali, zależnej od wskaźnika cen.

Waluta może być, albo oparta na metalu, albo na nim nie oparta. Tertium non datur.

Korzyści i braki waluty metalowej są powszechnie znane. Do korzyści należy:

1-o możność użycia do regulowania końcówek międzynarodowych zobowiązań,

2-o możność (dziś problematyczna) likwidacji zobowiązań bezspornie w towarze (metalu).

Do niedogodności zaś:

1-o zależność wartości obiegu od szybkości przyrostu zapasu metali — (rewaloryzacja złota i dewaloryzacja srebra w okresie 1927 — 32),

2-o zależność wartości obiegu krajowego od bilansu płatniczego.

Ostatnia niedogodność (z punktu widzenia czysto walutowego) może być uznana za korzyść, o ile na nią spojrzeć ze strony innych zjawisk gospodarczych.

3-o Wahania całości obiegu są niezależne od wahań w stanie majątkowym danego gospodarstwa Stąd ruchy cen, naruszające często równowagę poszczególnych gospodarstw indywidualnych np. wzrost uposażeń realnych przy spadku zarobków; wzrost wartości długów przy spadku cen i zarobków; niewypłacalność; przewłaszczenia lub ostre oddłużenia, niepewność kredytowa, zmiejszenie obrotów i inwenstycji — zastój.

Otóż celem moim jest wykazanie, że przy oparciu waluty nie o metal, a o co innego, równowaga stała jest również nie do utrzymania.

Przypuśćmy, że waluta nie jest opartą o metal. Mamy wówczas dwie alternatywy.

A) Waluta jest ograniczona do określonego obiegu i nie podlega wahaniom ilościowym (waluta petryfikowana).

B) Waluta jest manipulowana i ilość znaków obiegowych regulowana w sposób z góry założony. Dotychczas spotykałem się z założeniem manipulowania waluty tak, aby utrzymać stały poziom cen według określonego wskaźnika. Możnaby założyć manipulowanie ze stałym wzrostem lub stałym spadkiem cen, choć wątpię aby te, logicznie możliwe alternatywy, miały jakiekolwiek rzeczowe usprawiedliwienia. W żadnym razie nie dadzą waluty stałej.

A). Przy stałej wielkości obiegu nie usuwamy wahań cen. Każda inwestycja większa, musi wywołać dwa wahnięcia cen. 1° w okresie mobilizowania środków finansowych działanie deflacyjne wywoła albo zastój w obrotach albo spadek cen; 2° w okresie realizacji inwestycji nastąpi zastrzyk wartości w kierunku innych warsztatów aniżeli poprzednio i naruszy istniejącą poprzednio równowagę.

Usunąć te wahania możnaby robiąc wieloletni plan inwestycyjny dla całego państwa, ujmując wszystkie inwestycje w system.

Przy stałej wielkości obiegu każde udoskonalenie techniczne działać będzie inflacyjnie. Każde potanienie gotowego produktu wyzwoli zbędną wówczas siłę nabywczą, która zapewne początkowo pójdzie na podniesienie stopy życiowej, a następnie na dalsze inwestycje.

Przy stałej wielkości obiegu przyrost ludności działać będzie deflacyjnie.

Każdy nowy człowiek będzie musiał na swe potrzeby zmniejszać konsumcję bliźnich; każdy nowy pracownik będzie musiał inwestować w narzędzia pracy.

Gdyby jednakże założyć, że ilość mieszkańców jest niezmienna, że produkcja dokonywana jest zawsze tradycyjnemi metodami, że wszelkie inwestycje są ujęte w system, że władza państwowa nie dokonywa żadnych eksperymentów, że sąsiedzi nie grożą wojną a stosunki z zagranicą są praktycznie żadne; gdyby więc społeczeństwo nietylko izolować na pokolenia, ale i spetryfikować w tej izolacji, — wówczas, ale i tylko wówczas mielibyśmy walutę również stałą i niezmienną, jak cały byt tej mumji - narodu. Dziś wyobrażamy sobie, że takiem było życie starożytnego Egiptu. Szkoda tylko, że nie posiadamy dosyć dokumentów stwierdzających stałość ówczesnej bezpieniężnej waluty. I lepiej nie definjować bliżej, w której epoce życia Egiptu to by być miało, bo może się okazać, że wieczna zmienność i płynność życia istniała już przed Heraklitem.

Jeżeli więc waluta petryfikowana nie jest stałą, czy może nią być waluta manipulowana. Wszak stałość jest celem manipulowania walutą. Załóżmy oczywistą niedorzeczność: że technika pieniądza stoi tak wysoko iż potrafimy, niezależnie od stosunków handlowych i innych z zagranicą, utrzymać walutę na dowolnie dobranym poziomie. Poziomie w stosunku do czego:

a) jeżeli w stosunku od waluty obcej to mamy walutę opartą na tejże zasadzie co tamta, a więc albo metalową, albo sztywną, albo manipulowaną jak niżej.

b) jeżeli w stosunku do indeksu cen, to możemy rozróżniać następujące alternatywy 1) w stosunku do średniego, skomplikowanego, indeksu, skonstruowanego tak, aby odzwierciadlał przeciętny normalny koszt życia.

2) w stosunku do określonych produktów będących głównym źródłem wyżywienia narodu.

3) w stosunku do pewnych inwestycji sprzedażnych będących podstawą gospodarczej produkcji narodu.

Zacznijmy od 2), 3), gdyż realnym jest przykład stojący na granicy pomiędzy niemi. Myślę o ludach pasterskich, dla których bydło jest i produktem, będącym jego głównem źródłem utrzymania i inwestycją zarazem. Bydło jest też dla nich pieniądzem. Pochodzenie słowa „pecunia" od „pecus" jest najlepszą ilustracją bydlęcego pochodzenia waluty u rzymian.

W takiem społeczeństwie niema stałej waluty. Wartości produktów ubocznych otrzymywanych z bydła są zależne od wahań w bydłostanie, od chorób, od zapotrzebowań innych. Niedogodności tego stanu rzeczy były przyczyną przejścia na pieniądz metalowy. Rozpatrzmy stan czysty 3): Waluta zależna albo od a) wskaźnika ceny ziemi w państwie rolniczem, albo od b) wskaźnika ceny statków rybackich w państwie którego podstawą egzystencji jest rybołóstwo.

W wypadku 3a mielibyśmy walutę manipulowaną tak, aby cena ziemi była stała. W okresie więc niskich cen ziemiopłodów i małej rentowności ziemi ceny innych produktów musiałyby rosnąć. Wartość długów malałaby wraz ze spadkiem cen

ziemi. W czasie dobrobytu, to jest ogólnego wzrostu rentowności, ceny ziemi rosłyby — ceny wyrobów przemysłowych spadałyby więc jeszcze silniej. Nie byłoby tam zagadnienia oddłużenia rolnictwa, ale mielibyśmy do czynienia z oddłużeniem przemysłu, którego zobowiazania zależne byłyby od wahań rentowności i cen ziemi. W wypadku 3b, wobec możności nieograniczonej budowy statków rybackich, wobec stałości ich ceny mielibyśmy do czynienia z inflacją — ze spadkiem rentowności rybołóstwa, ze zmniejszaniem ciężaru długów w miarę inflacji. — Nie byłaby ona nieograniczoną. Ale rentowność podstawowej gałęzi życia gospodarczego tego kraju, róbołóstwa, byłaby rentownością marginalna wobec przesycenia tej branży narzędziem produkcji. (przy zachowaniu charakteru wolnokonkurencyjnego produkcji).

W każdym razie waluta nie byłaby stała. Podlegałaby wahaniom cyklicznym w zależności od wartości, na jaką rybacy oceniali by swe barki.

W wypadku 2) załóżmy a) stałą cene ziemiopłodów, np. wg. wskaźnika ważonego 4-ch głównych zbóż plus kartofle, albo b) stałą cenę wg. takiegoż ważonego wskaźnika ryb morskich, lub c) stałą cenę surówki żelaznej i cynku.

W wypadku a), który nie wyklucza wahań wzajemnych wartości ziemiopłodów, ceny innych produktów podlegaią stale wahaniom i to zupełnie niezależnym od kalkulacii producentów. W kraju więc wyłącznie rolnym taka waluta byłaby równoznaczna z wahaniami cen towarów importowanych: w kraju niewyłącznie rolnym oznaczałoby zwiększenie ryzyka przemysłu, dodając do istniejących ryzyk jeszcze niepewność waluty w aktywach i pasywach producenta.

To samo odnosi się do wypadku b) z ta różnicą, te wahania połowów sa silniejsze od wahań urodzaju. W razie udanych połowów następowałoby inflacyjne ożywienie całego kraju i przyrost wartości rzeczowych przy wzroście cen. Nie byłby to najgorszy sytem w kraju czysto rybackim, który wszystko inne importuje ,ale oznaczałby silne wahania cen.

System c) możliwy jest tylko w kraju, w którym jedynie żelazo i cynk są podstawą bogactw, a więc w takim, który żelazo i cynk wywozi, importując zboże i środki spożywcze. Oparcie waluty na wskaźniku zbudowanym na cenie tych dwóch metali uzależniłoby ceny innych produktów od stanu światowego rynku tych metali. W obronie ich spadku wszystkie ceny, więc i ceny żywności, wzrastałyby wywołując walkę o płace. W obronie ich wzrostu pozostałe ceny spadałyby wywołując inflacyjne ożywienie. — Waluta też nie miałaby charakteru stałości.

Po tem cośmy powiedzieli nie wiele już pozostaje do omówienia przy alternatywie pierwszej — tej waluty manipulowanej opartej na wskaźniku ogólnym.

Wskaźnik ogólny nie jest wskaźnikiem dla nikogo w szczególności. — Wahania cen i płac byłyby odzwierciadleniem wahań cen towarów i płac w danych branżach, a niebezpieczeństwo wahań waluty zależałaby od błędów w konstrukcji wskaźnika. Wskaźnik doskonale zważony okazałby się błędnym po kilku latach udoskonaleń technicznych i postępu gospodarczego. Wymagałby nowych poprawek również w związku ze zmianami struktury społecznej i zawodowej ludności, wobec rozmaitego stopnia zapotrzebowania płynnych środków przez różne typy zatrudnień. Waluta oparta na wskaźniku ogólnym musi albo: podlegać powolnemu upłynnieniu w związku z postępem technicznym, jak waluta petryfikowana, albo, jeżeli ten postęp jest uwzględniony przy stałych rewizjach wskaźnika, musi co pewien czas dawać deflacyjne wstrząsy. Stałą nie jest, ale można jej wahania utrzymać w niewielkich granicach, (przy założeniu, że opanowaliśmy wszystkie techniczno-pieniężne trudności regulowania waluty).

Jeżeli więc żadna waluta nie daje absolutnej miary wartości, czy należy wyciągać stąd wniosek, że sprawę waluty można polecić Boskiej opatrzności i nie poświęcać jej ani uwagi ani starań.

Bynajmniej. Jeżeli ideał nie da się osiągnąć to nie znaczy abyśmy się doń nie mieli przybliżać. Im bliższą stałości będzie nasza waluta, tem łatwiej nam będzie oceniać wartości i ich zmiany. Nie mierzyć ściśle, jedynie oceniać, ale i ta ocena może nam dużo dopomóc przy rozbudowie bogactwa naszego narodu.

NOTATKI

NIEZRĘCZNE OBURZENIE

Minister Przemysłu i Handlu podpisał 27 maja, ogłosił zaś 14 czerwca b. r. rozporządzenie, ustalające definicje przemysłu ludowego i domowego oraz pracy chałupniczej, po to, aby wymienione działy wyjąć z pod przepisów ustawy przemysłowej. Innemi słowy zostało ustalone, że przemysł ludowy i domowy oraz praca chałupnicza nie wymagają tych wszystkich rygorów, nakazów, zakazów i t. p., których ustawa przemysłowa żąda od przemysłu fabrycznego, rzemiosła, handlu i usług zarobkowych. Pracą chałupniczą oraz przemysłem ludowym i domowym trudnić się będzie mógł każdy, i nikt — ale tylko z punktu prawa przemysłowego — nie może się doń wtrącać, rejestrować jego zajęcia, udzielać lub nie udzielać pozwolenia, koncesji, lub karty rzemieślniczej. Naturalnie — ta wolność procederowa (jak się zwykli wyrażać prawnicy) ograniczona jest szeregiem ścisłych i ostrych (w naszem mniemaniu) wymagań, którym mają czynić zadość zainteresowani, a więc dajmy na to, chałupnikiem jest tylko ten, kto nie zatrudnia —poza członkami własnej „ménage"—nikogo innego, a przemysł ludowy musi być wykonywany przez ludność wiejską, której wyroby muszą wykazać się cechami etnicznemi i być oparte o miejscową tradycję ludową.

Nie będziemy tutaj przytaczali szczegółowego tekstu tego interesującego rozporządzenia, odsyłając czytelnika do Nr. 42 „Dziennika Ustaw". Robimy to nietyle z braku miejsca, ile z uwagi na konieczność podkreślenia pewnej specjalnej okoliczności, związanej z wymienionem rozporządzeniem. Mamy tutaj na myśli jaskrawe, tendencyjne i jednostronne wystąpienie prasy rzemieślniczej (z „Rzemiosłem", organem samorządu rzemieślniczego, na czele) i to wystąpienie w formie nader gwałtownej. Nie nasza rzeczą jest bronić, czy to rozporządzenia, czy Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Nas interesują jedynie motywy i wnioski tej aż zanadto żywej reakcji „opinji publicznej". W nadziei, że do tego tematu powrócimy niebawem i to od strony zasadniczej, ograniczymy się dzisiaj tylko do stwierdzenia, że prasa rzemieślnicza zajęła wąskie, klasowe stanowisko, chociaż z jednego - dwuch zdań możnaby sądzić, że docenia ona wagę, trudność, skomplikowanie i *wielostronność* problemu.

Atak prasy rzemieślniczej na rozporządzenie z 27.V 1935 r. poprowadzony jest (pomijając liczne błędy i urojenia, nie licząc opuszczenia części tekstu zwalczanych przepisów, jak to zrobiono w przodującem „Rzemiośle") pod kątem bezgranicznej i bezkrytycznej ochrony t. zw. dowodu uzdolnienia. Atakujący nie liczą się jednak ani z niedomaganiami systemu t. zw. kart rzemieślniczych (korzystnego przedewszystkiem dla budżetów samorządu rzem.), ani z odrębnością i potrzebami gospodarstwa wiejskiego (gdy mowa o przemyśle ludowym), ani z nędzą wielko - miejską, (vide: przemysł domowy i praca chałupnicza). Nie doceniają oni roli szybkiego (a więc nie dającego się zreglamentować przy pomocy kart rzemieślniczych) procesu uprzemysłowienia, a raczej urzemiosłowienia wsi, jak nie widzą wad systemu dowodu uzdolnienia, który nadmierną rygorystyką formalnościową i egzaminacyjną nie pozwala na likwidację t. zw. rzemiosła nielegalnego, a jest wodą na młyn „beati possidentes" w rzemiośle.

I dlatego zatytułowaliśmy naszą notatkę: „*Niezręczne oburzenie*". Bo i moment (t. zn. okres konjunkturalny) jest nieodpowiednio dobrany i nasza struktura społeczna nie sprzyja zasklepianiu się rzemiosła w ciasne formułki formalno - prawne i samo rzemiosło wymaga, aby atrakcyjnem było nie przez zakaz, lecz przez podniesienie jakości wyrobu, solidności i punktualności, nad czem tak pracowały średniowieczne cechy. A już najmniej można zrozumieć oburzenie organów opinji rzemieślniczej, że doskonalenie się w zawodzie będzie teraz potrzebne tylko ludziom ambitnym i dążącym do specjalizacji w swym fachu.

k. b.

ŻYWI URZĘDNICY

Nie czując się ku temu powołanym, nie mam zamiaru podejmować „odbronzowania" na wielką skalę. Figura, której odbronzowaniem chcę się tu zająć, nie jest ze spiżu. Nie jest ona wytworem kuchni piekielnej, otrzymanym na podstawie recepty „weź szczyptę wiadomości, szczyptę zamiłowania do pracy, hektolitr szacunku dla władzy, miligram przychylności dla petenta, tonnę papieru, podlej to wszystko pensją na pierwszego, i przypiecz na wolnym ogniu obawy redukcji". Wbrew tym, którzyby w naszym bohaterze chcieli widzieć nauczyciela i kontrolera życia gospodarczego, wbrew tym, którzy dopatrują się w nim szkodnika i niszczyciela, bohater ten — urzędnik administracji gospodarczej — to poprostu żywy człowiek.

Jak przedewszystkiem wygląda sprawa rekrutacji tych ludzi, na których współczesny system gospodarowania nakłada tak znaczne obowiązki i taką odpowiedzialność? Mam na myśli oczywiście nie rekrutację szczytów administracji gospodarczej, lecz jej szeregowców czy podoficerów. Otóż z tem jest bardzo źle. Młodzież z wyższych zakładów naukowych jest niemal z reguły bardzo źle przygotowana do pracy w centralnych resortach gospodarczych. Jest jedna tylko uczelnia, która w większej ilości dostarcza element nieźle przygotowany. Ale jest to akurat uczelnia, która słusznie dąży do rozbudzenia w swoich słuchaczach chęci do pracy w innym, bardziej samodzielnym kierunku. Czem tłomaczy się złe przygotowanie? Niewątpliwie złym systemem i programem studjów, wciąż jeszcze nienastawionym na konkretne potrzeby dzisiejszego życia. Ale jest jeszcze drugie zjawisko. Młodzież kończąca wyższe uczelnie niezmiernie często nie umie przyzwoicie tego, czego się jednak

uczyła. Czyżby wśród młodzieży nie istniała świadomość, że walka o byt czy biorąc węziej walka o posadę jest dziś szczególnie utrudniona? Trudno byłoby w to uwierzyć. Czy może w takim razie jest to postawa desperata, który wierzy, że pracę w dzisiejszych warunkach zapewni mu nie poziom jego wiadomości, lecz przypadek lub protekcja? Nie wiem, ale w każdym razie faktem jest, że przy całej ostrości bezrobocia pracowników umysłowych znalezienie wykwalifikowanych sił nawet bez stażu czy z małym stażem życiowym jest dziś niepomiernie trudne. Bezwątpienia tkwi w tem niezdrowy paradoks.

Wobec tego, że zapotrzebowanie na wykwalifikowanych pracowników z wykształceniem ekonomicznem jest silne nietylko w administracji państwowej, ale i w samorządzie gospodarczym i w instytucjach prywatnych, licytacja o lepsze siły jest bardzo ostra, nawet dziś, nawet w okresie bezrobocia! Wstrzymanie przez dłuższy czas awansów, trudność uzyskania wyższej grupy uposażeniowej i t. p. sprawiają, że na normalnej drodze Państwu trudno konkurować o dobre siły z innemi ośrodkami zapotrzebowania. Rezultat stąd dwojaki. Albo urzędnik administracji gospodarczej oczekuje szczęśliwego momentu, kiedy porzuci służbę państwową, co oczywiście jest złe dla służby, albo też otrzymuje dodatkowe wynagrodzenia, komisarki, i t. p., co także jest niedobre, stawia bowiem z jednej strony dane jednostki w sytuacji uprzywilejowanej, z drugiej zaś nie daje zasadniczego elementu pensji urzędniczej, t. zn. pewności i stałości. Ponadto w niektórych wypadkach dodatkowe uposażenia mają tendencję do nadmiernego wzrostu, czemu nie zapobiegnie się oczywiście żadnemi zarządzeniami. Sposób regulowania sprawy uposażenia w administracji gospodarczej sprzyja płynności i powstawaniu nierówności materjalnych wewnątrz niej.

I wreszcie ostatni, charakterystyczny moment. Ktoś, co nie stykał się bliżej z administracją gospodarczą, wierzy, że urzędnik państwowy do godziny 3-ej pije herbatę, albo obgryza paznogcie, a po 3-ej idzie do domu i ma wolną głowę. Na szczęście, czy niestety należy to już do przeszłości. Niedowiarkom polecam bardzo prosty sprawdzian. Wystarczy w godzinach wieczornych obejrzeć ilość oświetlonych okien w niektórych resortach. Nikt chyba nie będzie twierdził, że odwiedza się biuro popołudniu gwoli owej przysłowiowej herbaty czy paznogci. Te rzeczy można mieć przecież w domu.

Gdzie leżą źródła przeciążenia pracą — to inny problem. Trochę w nieumiejętności organizowania pracy, trochę w przeroście kolegjalnego załatwiania spraw, trochę w oszczędnościach budżetowych i trochę wreszcie w stale zwiększającym się zakresie działalności gospodarczej Państwa. Fakt pozostaje faktem, a jest nim nieprawdopodobne przeciążenie nie jednostek już, lecz całej kategorji odpowiedzialnych referentów w resortach gospodarczych. Przeciążenie równa się marnotrawieniu kapitału, sił i umiejętności. Równa się rabunkowej eksploatacji. Widzieliśmy, że zasoby stojące dziś do dyspozycji Państwa topnieją na rzecz innych pracodawców i że rekrutacja nowych pracowników nie jest rzeczą prostą.

Rozbudowa interwencjonizmu jest faktem, z którym należy się liczyć. Fakt ten wymaga prowadzenia świadomej i planowej polityki kompletowania personelu, któryby miał nowe zwiększone zadania Państwa wypełnić.

c. k.

MODA

Na tle niezawsze udanych i niezawsze w założeniu słusznych inicjatyw, mających nas uszczęśliwić przez samowystarczalność, jednym z jaśniejszych punktów jest t. zw. akcja lniarska. Po zarzuceniu pierwotnych, niekiedy zbyt poprostu sprowadzających się do pomocy publicznej, postulatów, po napotkaniu szeregu trudności, grupa entuzjastów rozwoju krajowej produkcji lnu nie ugięła się i nie zrezygnowała, ale wzięła się do uzgadniania swych prac i zamierzeń z rzeczywistością. Skoro wyszła na jaw zupełna nierealność tezy, jakoby obowiązkiem instytucyj, utrzymywanych z grosza publicznego było nabywanie wyrobów lnianych „chociażby były droższe i gorsze od wyprodukowanych na obcych surowcach", skierowano wysiłki, aby wyroby lniane były „lepsze i tańsze", a przynajmniej tańsze w stosunku do jakości, od innych. Jest to napewno kierunek usiłowań zdrowszy i rokujący może powolniejsze ale pewniejsze osiągnięcie wyników. Już to, co osiągnięto dotychczas, nie może być lekceważone, a dalsze postępy są zupełnie możliwe.

Obok starań o usprawnienie produkcji i zbytu „lniarze" prowadzą słusznie wytężoną propagandę w celu rozszerzenia możliwości sprzedaży. Propaganda, poparta przystępną ceną i wysoką wartością estetyczną doprowadziła do nadspodziewanego wyniku: do zapanowania mody na płótno lniane. To prawda, że sprzyjała temu „konjunktura" na obcych rynkach mody, prawda, że wiele pań ubiera się w cieńsze płótna importowane, pozostaje jednak faktem, że piękne marzenia oblekły się w ciało, a piękne ciała oblekły się w lniane płótna, co stanowi, pomimo importu, pokaźne zwiększenie zbytu krajowego surowca.

Ta idylla ma jednak słabą stronę. Jest nią wrodzona pono naszej piękniejszej połowie potrzeba zmian (oczywiście, tylko zewnętrznych). Można bardzo logicznie dowodzić, że z tego samego albo różnego płótna da się wycinać i wyszywać wielką rozmaitość sukien. Niezawsze jednak logika wystarcza, a w stosunku do mody niewieściej (podobno do jej przedstawicielek także) — napewno nie wystarcza. Tymczasem moda wytwarza zapotrzebowanie, a łatwość zbytu zachęca do rozwoju produkcji. Jeżeli moda się zmieni, co na podstawie doświadczeń należałoby uważać za nieuniknione, to będziemy mieli nowe lokalne zaostrzenie kryzysu. W tym stanie rzeczy ambicją naszych pań powinno się stać nie jaknajwiększe rozszerzenie słomianego ognia „lnianej" mody, ale utrwalenie, u-

chronienie od wygaśnięcia już rozpalonego płomienia. Trzeba w tym wypadku najusilniej hamować dążenie do zmienności, przynajmniej w zakresie materjału, trzeba rzucić hasło, że szczytem smaku i kultury jest stałość gustów i że naprawdę modna jest nie ta pani, która modę wyprzedza, ale ta, która się za nią opóźnia.

Swoją drogą, organizatorzy produkcji lepiej zrobią, przygotowując się na wypadek zwycięstwa słabości ludzkiej, tak przecież naturalnej u „płci słabej". Co zresztą, — o ile wiem, — ma miejsce w postaci poszukiwania dalszych możliwości stosowania włókna lnianego.

j. p.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk Piotra Laskauera, W-wa, Marjensztadt 8, tel. 222-39.